Nr. 7 We Lwowie, 1 kwietnia 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

JÓZEF JABŁONOWSKI

# Dzierżawa czy odstrzał?

By na pytanie to dać odpowiedź wyczerpującą, trzeba ująć ją z trzech punktów widzenia — a więc z punktu idealnego łowiectwa, finansowego i ochrony jelenia.

Na punkt pierwszy odpowiem słowami jednego z najlepszych myśliwych i znawców jelenia karpackiego, jakim był śp. Aleksander Przedrzymirski.

„Strzelec robiący w ciągu sezonu tysiące kilometrów, przerzucający się z bronią w ręku z kniei do kniei, strzelający dziś tu rogacza, jutro tam jelenia, pojutrze o sto mil parę zajęcy, aby tylko jak największą ilość sztuk w swoim myśliwskim regestrze zapisać, nie ma czasu, ażeby odczuć te piękne strony łowów, jakie przypadają w udziale myśliwemu, kochającemu swój rewir i pieszczącemu swój zwierzostan. Strzelec taki niema nigdy czasu, bo zabiwszy dziś nieznajomego cudzego rogacza n. p. pod Krakowem, spieszyć się musi, ażeby nazajutrz strzelać znowu do takiego samego nieznajomego, Bóg wie przez kogo wychowanego, przez kogo innego wysłuchanego jelenia gdzieś w Beskidach. I tak ciągle bez przerwy „ibi patria ubi bene“ byle gdzie, byle z kim i byle jak, ażeby tylko strzelić, rogi odciąć, sztukę zapisać i znowu dalej. Niestety, typ takiego „myśliwego“ staje się coraz częstszy. Coraz częściej łowiectwo schodzi na rekordową strzelaninę, a najpiękniejszym już nowoczesnym kwiatkiem na tej niwie, jest strzelec kupujący odstrzał na sztuki. Tej przyjemności nigdy zrozumieć nie mogłem moim prostym myśliwskim rozumem, jakie łowieckie zadowolenie mieścić się może w przelaniu tej krwi, kupionej za brzęczącą monetę, jaka rozkosz w tych łowach dokonywanych pod argusowym dozorem, gdzie myśliwy schodzi do roli strzelca, pozbawionego wszelkiej samodzielności. Taki strzelec nie pokocha kniei, nie zazna tych krzepiących ciało i ducha wrażeń, nie odczuje tego ciepła, jakie bywa udziałem myśliwych, których przez długie lata połączyły, ukochana knieja, wspólność dążeń i myśli i wspólność wspomnienia“.

Słowom tym ani nic dodać ani ująć nie można, chyba to tylko, że są w Polsce myśliwi w najlepszem tego słowa znaczeniu, którym stosunki materjalne, czy też brak czasu uniemożliwiają dzierżawienie rewiru; tym to, trzeba umożliwić zdobycie wieńca i dlatego powinny być rewiry przeznaczone na odstrzał ale w ilości takiej, jaką wykaże zapotrzebowanie, więc przypuszczam — minimalnej.

Przechodzę do punktu drugiego, finansowego. Szkoda wielka, że Dyrekcja Dóbr i lasów państw. we Lwowie w swym artykule umieszczonym w 7 nr. „Łowca Polskiego“ nie podała cyfr konkretnych: a mianowicie jaki dochód uzyskano z dzierżaw w r. 1931 gdy wszystkie rewiry były wydzierżawione, a jaki w r. 1932, roku odstrzałów i inowacji. Nie mam danych dokładnych, jednak wiem, że w wielu rewirach nie polował nikt, wydzierżawiono ilość ich minimalną, odstrzałów sprzedano mało, a wiele z tych które sprzedano, względnie na które wzięto

zadatki, nie zostały wykorzystane i że Skarb Państwa poniósł znaczne straty na tych inowacjach. Przytoczę tu dowód tylko z dwóch rewirów i to obydwu obsadzonych. Pierwszy Delatyn, sprzedano tam odstrzał 4-ch jeleni, wpłynęła zaliczka 800 zł i nic więcej, gdyż jelenia nie odstrzelono żadnego. W razie wydzierżawienia wpłynąłby czynsz licząc po 50 gr za 1 ha, 2.025 zł a więc efektywna strata 1225 zł, nie licząc kwoty, którą dzierżawca włożyłby na dokarmianie zwierzyny, lizawki, utrzymanie ścieżek, strażników łowieckich i szkód. Kwota ta w roku 1931 wynosiła 6.406 zł. Drugi, Jaremcze sprzedano dwa jelenie; obydwa zostały odstrzelone, wpłynęła kwota 1.200 zł, czynsz dzierżawny wynosiłby około 1.800 zł, znowu nie licząc ochrony. A jak przedstawia się sprawa tam, gdzie nie polował nikt?

Reasumując, finansowo wszystko przemawia za dzierżawą, ale dzierżawą rozumną i nie przeciągającą struny. Gdy przed laty siedmiu wydzierżawiano rewiry po 50 gr za ha, była to już wtedy cena prawie że wygórowana, a były to przecie czasy dobrej konjunktury. W roku zeszłym jeśli znaleźli się nabywcy chcący płacić tę samą cenę, to tylko wielkie przywiązanie do gór naszych i praca tam włożona zmuszała ich do tego, gdyż cena ta była o wiele za wysoka i ponad ich możność. Lecz i tym uniemożliwiono dzierżawę. Nie licząc się z położeniem kraju, czynsz jeszcze podniesiono na 70 gr za ha, wprawdzie obniżono go zaraz do poprzedniej wysokości, ale dołączono do każdego prawie rewiru obszary dawniej nie dzierżawione, a przeważnie zupełnie bezużyteczne. Np. w rewirze Jaremcze dołączono około 1000 ha lasków po drugiej stronie Prutu i uzdrowiska, w których oprócz kuracjuszy i rzadko przechodniego a robiącego szkody dzika, nic nigdy nie było i niema, i uzależniono dzierżawę od wzięcia i tego obszaru, co podniosłoby czynsz o około 500 zł. Wobec tego kontrakt nie został podpisany. Nastąpiły i dalsze utrudnienia; w każdym rewirze miały powstać rezerwaty, gdzieby odstrzał był zakazany, wyłączono z dzierżaw niedźwiedzia etc. Żądano więc zapłaty za obszar, na którego znacznej części dzierżawca nie polowałby czy to z powodu zakazu, czy też kompletnego braku zwierzyny, czyli czynsz faktyczny za użytkowane tereny byłby znacznie wyższy. Zupełnie jasnem jest, że w każdej części rewiru zwierzyny nie ma, natomiast nie można kazać sobie płacić za lasy przeważnie nie łączące się z głównym kompleksem, dawniej nie dzierżawione i takie, w których grubsza zwierzyna nigdy swych ostoi nie miała ani mieć nie będzie.

Dyrekcja lwowska spodziewała się, że mając jak najwięcej odstrzałów do dyspozycji, wszystkie je ulokuje, że ściągnie ludzi zagranicznych, którzy sypną dolarami. Nadzieje zawiodły. Nie stawiam zarzutów Dyrekcji, wielokrotnie Ją odwiedzałem i zawsze znajdywałem tam pełne zrozumienie i dużo dobrych chęci, niestety działały tu dyspozycje z góry, przeto trochę dziwnym wydaje mi się artykuł o którym już wspomniałem a na który chcę w krótkości odpowiedzieć.

Niestety artykuł ten wyjaśnia, że czynnikom decydującym chodziło przedewszystkiem a może li tylko o uzyskanie jaknajwiększych dochodów, nie licząc się zupełnie z dzierżawcą. Choć Dyrekcja nazwisk nie wymienia, łatwo domyślić się, że polemizuje w pierwszym rzędzie z Br. Antonim Götz-Okocimskim, a chodzi Jej o rewir Delatyn. Więc naprzód stwierdzić muszę, że Delatyn jest jednym z gorszych rewirów karpackich a nie najlepszym, jak czytamy w wspomnianym artykule. Rewir ten od lat prawie czterdziestu znajdował się w rękach śp. Jana br. Götz-Okocimskiego, następnie jego syna. Wszyscy wiedzą, jak wysokiej klasy hodowcą i myśliwym był ojciec i jest syn, więc nie będę tego dowodził, stwierdzę tylko, że rewir przez nich dzierżawiony wśród wszystkich terenów karpackich cieszył się pod każdym względem najwyższą opieką, jak zresztą najlepiej dowodzi tego suma 6.406 zł wydana w jednym roku na ochronę zwierzyny (w stosunku do około 4.000 ha). Mam wrażenie iż tacy i tak długoletni dzierżawcy zasługują na pewne względy, na przedłużenie dzierżawy z wolnej ręki i najdalej idące ułatwienia. Nic podobnego — dzierżawy nie chciano przedłużyć, rewir puszczono na licytację i podniesiono cenę do 75 gr za ha z tem, że poprzedni dzierżawca ma pierwszeństwo, oczywiście nikt nie zgłosił się, br. Götz ofiarował czynsz poprzedni 50 gr, zgodzono się na to, lecz dołączono do rewiru obszar 1200 ha, gdzie jeleni nie ma, przez co nietylko wzrósłby czynsz o 600 zł, ale wzrosłyby znacznie i odszkodowania, stworzono matecznik 407 ha, gdzie nie wolno polować, wreszcie kazano płacić czynsz złotym w złocie. Pertraktacje trwały szereg miesięcy i musiały wreszcie doprowadzić do zerwania. Jako „ekwiwalent" otrzymał br. Götz odstrzał czterech jeleni za drogie zresztą pieniądze, ale innych kandydatów, o ile mi wiadomo, nie było.

Przechodzę do sprawy najważniejszej, ochrony jelenia. Tu jestem zdania, że tylko długoletnia dzierżawa jest racjonalną. Obawy nasze, że w zaprowadzeniu odstrzałów tkwi niebezpieczeństwo grożące nieobliczalnemi wprost konsekwencjami dla stanu jeleni w Karpatach, są zupełnie słuszne, dziś po oświadczeniu Dyrekcji iż nie będzie szczędzić funduszów na cele łowieckie, że przyjmie specjalnych strażników ect. obawy te trochę zmalały. Lecz to nie wszystko, my którzyśmy znaleźli po wojnie w kniejach tych pustki, następcom zostawiamy pierwszorzędny zwierzostan jeleni, mamy prawo nie tylko spodziewać się łowieckiego uznania od tych, którzy po nas dojrzałe zrywać będą owoce ale i poinformowania nas po jakiej linji wytycznej pójdzie obecna gospodarka łowiecka w Karpatach, jakie to będą te obiecywane fundusze, ile w tym roku asygnowano? Musimy zdać sobie sprawę, że w ostatnich latach cały szereg nadleśnictw został obsadzony ludźmi o najlepszych zapewne chęciach, lecz takich, którzy gór nigdy nie widzieli a jelenia znają tylko z obrazka, że zaś literatura o jeleniu karpackim prawie nie istnieje, więc i przygotowania teoretycznego mieć nie mogą. Panowie Ci dopiero po latach będą mogli nabrać doświadczenia, jakżeż więc mogą sprawować ochronę? Tembardziej, że i niższy personel będzie musiał być w większości młodemi siłami zastąpiony. Koniecznem jest stworzenie stanowiska łowczego, któremu podlegałyby sprawy łowieckie we wszystkich rewirach i to nie takiego ad hoc zrobionego, lecz człowieka zamiłowanego myśliwego, który lata swoje spędził w Karpatach.

Jak dalece jeleń karpacki mało jest znany, przekonaliśmy się w niedawno toczącej się polemice o odstrzale podczas rykowiska; tam szczególnie większość Panów Profesorów z Tow. Ochrony Przyrody wykazała najzupełniejszą nieznajomość tematu, tam opierano się przeważnie na twierdzeniu, że jeleń gruby, z niemieckiego „Platzhirsch" jak chcą niektórzy po polsku „stadnik", ryczy stale otoczony haremem łań na gołych zrębach albo polanach, że zmysły jego wtedy przytępione, oczy zamglone, poprostu nic łatwiejszego, jak takiego jelenia wtedy zabić, niechaj ci, co to twierdzą, pójdą i spróbują! Jeleń kapitalny w Karpatach ryczy na otwartych miejscach tylko w nocy, skoro brzask, rozpoczyna wędrówkę w towarzystwie najczęściej tylko 2—3 łań w miejscach prawie niedostępnych i tylko z rzadka się odzywa albo milczy zupełnie, jeleń ten wśród najwyższych paroksyzmów miłosnych ani na chwilę nie pozbywa się wrodzonej ostrożności, cichnie i bez szelestu znika jak cień, gdy nozdrza jego pochwycą wiatr podejrzany lub najmniejszy szelest niewłaściwy podrażni jego ucho, ani na chwilę nie pozbywa się swoich wysoko rozwiniętych władz umysłowych, patrzy, słucha i wietrzy bezustannie, jest ostrożniejszy jak zazwyczaj a pomaga mu w tem każda z łań.

Lecz wracam do tematu. Nie wątpię, że personel Dyrekcji znajdzie energję i chęć do walki z kłusownictwem; natomiast nie wierzę w rezultat walki z daleko gorszą plagą, jaką są wilki w górach, z tym nieuchwytnym wrogiem, dla którego zwalczania nigdy dość energji, umiejętności i cierpliwości. Ilościowy stan jeleni przekroczył już przedwojenny, natomiast trzeba z obawą stwierdzić że jakościowo zaczyna cofać się w tył, najwyższy więc czas, by przystąpił do selekcyjnego odstrzału tak byków jak i łań, pytam kto to uskuteczni? Nie potrzeba chyba dowodzić, jak trudnem jest to zadanie. Reasumując, jestem stanowczo za dzierżawą i w ten sposób ją pojmuję:

1) Pozostawienie jednego najlepszego rewiru na cele reprezentacyjne.

2) Pozostawienie jednego albo dwu rewirów w których odstępowanoby odstrzały.

3) Wydzierżawienie wszystkich innych rewirów na okres nie krótszy, jak 6 lat, możliwie jednak dłuższy, za czynszem nie wyższym jak 40 gr od 1 ha z tem, że 30 gr wpływałoby do kasy Dyrekcji, zaś 10 gr szłoby na ochronę zwierzyny, czynsz ten w razie poprawy konjunktury stopniowo lecz nieznacznie mógłby być podniesiony.

4) Indywidualne traktowanie rewirów pod względem ich wartości łowieckiej a zatem i czynszu, więc w niektórych rewirach czynsz musiałby być jeszcze bardziej obniżony.

5) Dzierżawca musiałby dysponować całą wydzierżawioną przestrzenią, tak dziś modne a zupełnie bezcelowe tworzenie mateczników (rezerwatów) nie może być stosowane w rewirach wydzierżawionych.

6) Przymus dostawiania raz w roku po sezonie wszystkich zdobytych wieńców do Lwowa, gdzie komisja złożona z przedstawicieli Dyrekcji i wybitnych myśliwych, klasyfikowałaby je i miała prawo nakładać grzywny na właścicieli tych wieńców, które nie przekroczyłyby minimum ustalonych norm.

My prawdopodobnie będziemy musieli odejść, przyjdą po nas ludzie, którzy w Karpatach pierwszy raz polować będą i tacy z których koło toczącej się fortuny stworzyło myśliwych, trzeba warunki zaostrzyć, by dorobek nasz nie poszedł na marne.

Na zakończenie pragnę podziękować Panu Redaktorowi Walentemu Garczyńskiemu. On jeden z pośród myśliwych nie polujących w Karpatach z prawdziwą intuicją myśliwską potrafił wczuć się w potrzeby tego królewskiego zwierza, jakim jest jeleń górski, potrafił bronić przed grożącemi mu niebezpieczeństwami. Nie byliśmy psuci na tym punkcie, to też świetnie i zawsze chętnie pisane artykuły Pana Garczyńskiego jak też i Prof. Domaniewskiego każdy myśliwy karpacki czytać musi z najwyższem uznaniem i prawdziwą radością.




ADAM STARZEŃSKI

# Gawęda o pechu

„Sikoreczka usiadła wśród bzu, ja cię pytam mój ptaszku, nie nudzisz się tu?" — Ładne, nieprawdaż? Bardzo nawet ładne. — Wyśpiewywał to Skalski jeszcze w Skarbkowskim teatrze. Młodzi i starzy ze wzruszenia to nucili, śpiewali, gwizdali. Melodja też ładna była... ale, ale jakżeż to ona idzie?... ani rusz przypomnieć jej sobie nie mogę...

— No dobrze, dobrze, lecz cóż to ma z „Łowcem" wspólnego?

— Otóż ma, właśnie ma, Panie Redaktorze, zaraz zaraz...

Siedzę sobie bowiem na pniu dębowym, niziutko przy ziemi, jesień cudna, przedemną drągowina o podszyciu nie bardzo przejrzystem, strzelba oparta o brzózkę. Siedzę i czekam, naganka jeszcze nie zaszła, gdyż trąbki dotąd nie było, słońce tak rozkosznie grzeje, cisza, tylko dzięcioł puka, tylko daleko gdzieś i wysoko gdzieś kruk kracząc, wolno przeciąga a tuż przedemną sikorka, taka mała z czarnym łebkiem sikoreczka, zwieszając się u gałązek, pilnie je obszukuje. Wpatrzony w malutką akrobatkę, rozmarzony, wytrwale szukam tę zagubioną melodję. W tem coś mnie tknęło, na lewo o dwa, trzy kroki badyl jakiś suchy tuż przy linji, jakby drgnął, a obok — jakaś zjawa. Daleka droga od Skalskiego, od tej wywietrzałej z pamięci melodji, od teatru Skarbkowskiego do rzeczywistości, do tej zjawy. A tam siedzi grzecznie jakaś figurka zgrabna, kolor jakby wiewiórkowy, uszka śpiczaste czarne, mordeczka też śpiczasta,

wilgotny nosek się świeci, wąsiki nasrożone, wdzięcznym ruchem czarne łapki kitą bogatą nakrywszy, łakomym wzrokiem moją sikoreczkę ściga. A bodajże cię! A my właśnie na lisy polujemy, a strzelba właśnie o drzewo oparta, a lis właśnie o dwa kroki odemnie siedzi, a ja właśnie zagubioną melodję już, już prawie odnalazłem. — Pech!

Co to jest pech? Pech, to potęga, to olbrzym. Ojcem jego przypadek a nic nie znacząca przyczyna go rodzi. Podobnie jak iskrą pożar, tak drobiazgiem pech się zaczyna. Niewinny na pozór drobiazg w mgnieniu oka urasta do rozmiarów nieprawdopodobnych, niosąc wszystkiemu, co żyje, skutki nieobliczalne, zawsze złośliwe. Pech jest wszechstronny. Bezlitośnie gnębi on wszystko, co żyje, gnębi wszystkich ludzi bez wyjątku, gnębi starych, gnębi młodych i tych wielkich i tych małych, gnębi mądrych, i niemądrych, stanu, urzędu, płci nawet nie bacząc, gnębi również i zwierzęta i te szkodliwe i te złośliwe i pożyteczne i te łagodne, piękne i brzydkie, a już najwięcej te łowne, wszystkie więc bez wyjątku, nic nie badając, czy zwierz ten lata, czy biega, pływa lub pełza.

Człowiek pospolity często ma pecha, człowiek gracz już znacznie częściej, ale największego i najczęściej człowiek myśliwy i kolega jego człowiek rybak. Wszystko w świecie się zmienia, przemienia lub wyradza, pech jednak do żadnej przemiany lub jakiegoś rozkładu dotąd jeszcze nie doszedł. Jest w pełni sił. Jest tem, czem był. Gdy się kogoś uczepi, gdy się na kogoś uweźmie, nieubłaganie, nieustępliwie, tak po swojemu, nie pomogą tu żadne zalecane środki zaradcze przez poważny szereg odległych pokoleń wypróbowane a nieraz w tajemnicy przez ojców synom jako jedyna spuścizna legowane. — Mówimy wtedy: zdrowego ma pecha.

Pech był od wieków, pech był zawsze. Znali go starożytni, znał go już i stary testament, w którym liczne na to przykłady odnaleźć łatwo. Któż nie pamięta Absaloma? Piękny był, dumny ze swych loków, liczne żony, liczniejsze jeszcze służebnice miękką dłonią je pieściły, wonnościami skrapiały, raz tylko do roku je strzygąc. O gdyby był wiedział! O gdyby był przeczuł! A taki Tobijasz*) albo Putypharowa żona, tożto urodzeni pechowcy. A w czasach nam już bliższych, jakżeż ciężko i nieprzystojnie musiał sklnąć gęsi kapitolińskie, skórą tura przyodziany wódz Gallów!

O tem, że i zwierzęta mają pecha, wiedzieli już i poeci. „Głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział..." I słusznie mówi poeta, żeś głupi, bo i pocóż wyszedłeś z bezpiecznego zacisza, licho jakieś cię skusiło i już ci Wojski siedział na karku. Inny znów poeta w jakąż smętną zadumę nas wprowadza z wielkim zresztą naszym pożytkiem, gdy z uwagą czytamy jego: „Szary wróbel z czarną łatką, uganiał się za dzierlatką" i gdy dalej czytając, dowiadujemy się, jak pechownie fałszywą obrał słowik drogę w uplanowanym zresztą z góry celu, albowiem i bez wahania i bez namysłu „dzierlatka mała, wróbelka wybrała". Pech czasem poucza, jedyna to jego zaleta.

Zwierzęta łowne, cierpią od pechu bardziej, niż jakiekolwiek inne. I tak odwieczna myśliwego sojuszniczka,

*) Imiona biblijne rozmyślnie są pisane pisownią z biblji Wujka 1599 roku.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

# Modrzewie

Jesień była wyjątkowo piękna i ciepła. Zieleń roślinności zbrzydła, zczerniała, ustępując miejsce przepysznej barwie żółtej, o setkach odmian i odcieni. Rozległe łąki i pola nużyły wzrok pustką i monotonnością, zmąconą niekiedy tylko czarną wstęgą świeżo zaoranych zagonów, po których spacerowały samotne wrony. Natomiast lasy pyszniły się bogatą skalą barw, od jasno-kanarkowej młodych brzózek, poprzez szafranową lip i ceglastą dębów, po szmaragd świerków i czerwień osin. Drzewa, otulone złotą opończą, miejscami bardzo poszarpaną i przejrzystą, wyłaniały coraz to częściej czarną gmatwaninę gałęzi wilgotnych, rosą operlonych. Ziemię wyścielała mozajka różnobarwnego, śliskiego, wodą nasiąkniętego listowia. Z wyniosłych koron drzewnych jak motyl coraz to odpadał zżółkły liść i balansując w powietrzu, wirując, bezszelestnie osiadał wśród innych na leśnem podłożu. W powietrzu unosiła się lekka mgła, przysłaniając niby przejrzystym welonem wnętrze lasu, pogrążonego w majestatycznej ciszy i martwocie, nie mąconej żadnym głosem ptaka, lub brzękiem owadu. Tylko czubate sójki napełniały niekiedy wrzaskiem okolicę, kłócąc się zawzięcie wśród konarów dębu.

Środkiem dużego kompleksu starodrzewia, pokrywającego bagniste tereny, o glebie czarnej, próchnicznej, biegła stara, zdarniona droga. Kiedyś stanowiła ona może poważny szlak, pozostałością którego były nieliczne, wypróchniałe brzozy, spotykane po obu jej stronach i będące zapewne resztkami dawnego szpaleru. Dziś nikt tędy nie jeździł, to też nie można było na niej odszukać śladów kopyt końskich, czy też kół. Jedynie podłużne wgłębienia, wypełnione obecnie wodą w formie błotnistych kałuż, stanowiły niewątpliwie dawne koleiny. Droga ta wiła się, rozgraniczając stary las mięszany od rozległych borów sosnowych, przeplatanych połaciami błot i mszarów. Prawą jej stronę stanowił wysokopienny, stary drzewostan. Rosły tu ciemne, kołtuniaste świerki, wśród których jasnością pni wyróżniały się wyniosłe brzozy i siwe osiny. Miejscami tkwił potężny dąb i klon rozłożysty. U podnóża drzew krzewiły się bujne leszczyny, trzmieliny o pięknych, pomarańczowo-różowych wisiorkach i rzadkie kruszyny.

Inaczej się przedstawiała lewa strona zapomnianej drogi. Tu piętrzył się bór sosnowy, przykryty zielonym baldachimem igliwia, wspartego na mnóstwie ceglastych filarów drzew, szemrzących cichy, tajemniczy chorał. Podnóże boru wyścielał aksamitny, lśniący mech, przyprószony cienką warstwą brunatnych igieł. A poprzez wąskie pasmo wysokopiennych sosen przeświecał się bezmiar mszaru, upstrzony zielenią rachitycznych, karłowatych sosenek.

Na małej polance, tuż przy drodze, rosły dwa wyniosłe, stare modrzewie. Skąd się one tu wzięły, nie wiedział

ta co serce jego radością napełnia, ponowa, ścieląc się, jakiż to pech wszelakiej zwierzynie przynosi. Albo tropiciel! Tropiciel jest tem dla zwierzyny, czem dla ciebie drogi kolego myśliwy jest inspektor podatkowy. Po nielicznych, nieznacznych nieraz śladach, ustala jeden, co knieja twoja a drugi co kieszeń twoja kryje. Cechą ich wspólną jest optymizm i przesada, nierzadko bowiem myślą, że jest więcej, niż ślady na to wskazują, ale również wspólną ich cechą jest, że i jeden i drugi nie zawsze wyduszą to, co chcą, jeden z gąszczów a drugi z kieszeni, albowiem i knieja i kieszeń zawodną jest. To znowu jest ich pech, gdyż ten nieraz bywa obosieczny.

Rozważmy jeszcze kilka przykładów wybitnego pechu z życia zwierząt. Więc najpierw historja trzech wron. Daleko na polu, na kupie zebranych z roli kamieni, siedziało ich trzy w jednej linji, ale szeroko jedna od drugiej, po metrze lub i więcej rozmieszczone. Jedziemy saniami, mój towarzysz jak zawsze ma swego Schoenauera, na którym lunetę zasadził. Nigdy z nim się nie rozstaje i do czego tylko może, z zapałem i skutecznie strzela. Już zoczył wrony, więc stajemy. Mierzy długo, odkłada, głęboko oddecha, odległość bowiem znaczna — zwyż stu metrów wynosi, znów długo mierzy, wreszcie strzela. Leży środkowa ostrzeliwana wrona, druga na prawo, ze skrzydłem przetrąconem i okulawioną łapką podskakuje niezgrabnie i kracze, trzecia lewa zrywa się, leci ciężko w górę i nagle spada martwa. Kula zabiwszy środkową wronę wyrżnęła w kamienie a te rozpryskując się, zraniły śmiertelnie tamte dwie.

O pięciu przepiórkach: Polujemy na kuropatwy, zrywa się przepiórka, towarzysz mój strzela i spada ich pięć, czego strzelający wcale nie widział nawet a zato ja idąc bokiem, wobec tego pogromu oniemiałem ze zdziwienia. Wyciekały bruzdą za starką, podniosły się naraz jak bat i jak bat wszystkie pięć opadły.

A teraz o wiewiórce: Kilka ich jest w ogrodzie, dwie rude, jedna popielata, jedna czarna. Nasze przyjaciółki. Żywimy je, jedzą wszystko. Skaczą po drzewach, gonią się, kłócą się, zbierają opadłe kasztany. Kotka siedzi nieruchomo pod drzewem koło śpichlerza, czatuje na myszy. Oczy prawie zamknięte, wie, że ich blask może ją zdradzić, do skoku jednak gotowa. Wtem nagle jak piorun ląduje przed nią wspaniałym skokiem z połowy drzewa wiewiórka, jedna z tych rudych. Już straszne pazury wbiły się w okrągły grzbiet wiewiórczy i wnet już tylko przepyszny puszysty ogon pozostał, który kotka, dobra matka, dzieciom swoim do stajni do zabawy zapewne zaniosła.

A teraz coś o sarnach: Pędzenie na rogacze, strzela się tylko kulami. Pan As również jest na polowaniu. Chętnie wszędzie go proszą, wiemy przecież, że strzela znakomicie. Czasem jednak z pechem. Pędzą gęstą drągowinę grabową. Trzy sarny sadzą na połeć, pierwsza, wspaniały rogacz. Suchy strzał, wali się sztuka trzecia, pierwszy, wspaniały rogacz sadzi dalej. Pan As klnie straszliwie ale poprawia. Tym razem wspaniały rogacz leży, a ta trzecia oczywiście młoda kózka, ma duży kawał combra jak nożem odcięty, trzeba ją dostrzelić. Kula na grabie rykoszetując, uderzyła na płasko, robiąc to straszne spustoszenie.

Na zakończenie jeszcze coś o łaniach, ale teraz to już wprost ponura historja. Polowanie spółkowe. Pan As

---

tego nikt z żyjących. Może zasadził je dawny właściciel majątku, może jakiś podróżny, wędrowiec z odległej krainy, wyrzucił drobne, skrzydlate nasionka, czy przyniósł je z daleka szalejący huragan? Stare to były okazy. Ich grube, brunatne, chropawe pnie sięgały wierzchołkami wysokości najstarszych drzew, a szeroko rozkrzewione gałęzie, pokryte drobnem, miękkiem igliwiem, tworzyły z nich dwa zielone piramidalne słupy. Nie były one ładne, wręcz przeciwnie: możnaby je nawet nazwać uosobieniem drzewnej brzydoty. Składały się na to okazałe porosty, obsiadające obficie modrzewiowe konary, a także mnóstwo uschłych gałązek i nieopadłych zeszłorocznych szyszek, tkwiących na drzewie. Wszystko to razem robiło wrażenie jakiejś poczwarnej dzikości i niechlujstwa, nie pozbawionego jednak pewnego specyficznego uroku.

Drzewami temi szczególniej interesował się stary gajowy tych lasów, Anton, a przechodząc drogą — zatrzymywał się, by popatrzeć chwilkę na „hetyje zahraniczny je jołki". Nie same jednak tylko drzewa były powodem tej jego ciekawości. Zajmowało go także coś innego. Od chwili, gdy przymrozki jesienne zwarzyły drżące liście osin, przybierające czerwoną barwę, gdy zwiędły i pożółkły delikatne kiście igliwia modrzewi — z rozległych borów i mszarów wzorzystych zlatywały się na te drzewa głuszcze na uczty poranne lub wieczorne przekąski. I nieraz o wschodzie, czy zachodzie słońca, przytulony do pnia w pobliżu modrzewi, widział Anton, jak z głośnym łopotem nadlatywały królewskie ptaki i zapadały na którymś z „zagranicznych" mocarzy.

Wybrał się więc kiedyś ze strzelbą i ukryty za krzakiem na skraju polanki — czekał. Zaledwie słońce zaszło, a wczesny zmrok jął tuszować daleką linję widnokręgu, z nad ciemnej ściany boru wyłoniła się wyraźna sylwetka lecącego ptaka. Przewinąwszy się zręcznie pomiędzy pękami igliwia, usiadł kogut na grubej gałęzi pierwszego modrzewia. Chwilę trwał bez ruchu i opuściwszy nisko głowę, spoglądał w dół. Cała jego postać, jak kontur z blachy wycięty, wyrażała natężenie wszystkich zmysłów. Tyle w tem było skupionej uwagi, tyle bacznej przezorności, że Anton wstrzymał nawet oddech, który wydawał mu się zbyt głośny.

Wreszcie w całej postawie ptaka dało się zauważyć pewne odprężenie. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Podniósł łeb, poruszył wachlarzem i zaczął rwać białym, zakrzywionym dziobem miękkie igły, tuż przed nim zwisające. Na to czekał myśliwy. Bał się dłużej zwlekać ze strzałem, by głuszec nie powziął jakichś nowych podejrzeń, a przytem zmrok gęstniał — należało się śpieszyć. Oparłszy długą lufę swej pojedynki w rozwidleniu młodego drzewka, skierował śpiczastą muszkę na wyraźnie na tle nieba rysującą się sylwetkę głuszcza. Wyczekawszy moment, gdy kogut zwrócił się doń piersią, Anton płynnie nacisnął spust. Huknęło rozgłośnie po lesie, siwy obłok dymu otoczył krzak. Pojedynka kopnęła tak potężnie, że strzelec aż się zachwiał.

bardzo lubi strzelać i chętnie widzi siebie „królem" polowania. „Królem" być nie tak to łatwo, na to trzeba zapracować, pilnie z benedyktyńską dokładnością zbierać sztukę do sztuki, umieć patrzeć, umieć słyszeć, nie przepuścić żadnej sztuki, ściągnąć nawet sąsiadowi... byle zgrabnie... byle zgrabnie... Prezes z łowczym stoją na boku, narada. Pan As to widzi. Pan As jest ciekawy. Nieznacznie, od niechcenia już się podsunął i słyszy, dech mu zapiera, jak łowczy melduje, że wysłał do województwa prośbę o odstrzał dwóch łań — dwóch starych łań. Miła wiadomość, z nikim, za nic na świecie pan As nią się nie podzieli. Zaraz w pierwszym miocie pan As, wybraniec losu, wspaniałe ma spotkanie. Pęc na prawo, pęc na lewo, a że strzela doskonale, dwie sztuki leżą, dwie stare łanie. Hurra! Ale cóż, podanie było wprawdzie wniesione, lecz odpowiedzi zezwalającej dotąd nie było. Pech więc podwójny, gdyż i taki bywa, albowiem i łanie dwie z życiem się rozstały i gorliwy pan As, grubo beknął do kasy Towarzystwa.

Tak — tak — wszystko co żyło, co żyje i co żyć będzie, miało pecha, ma pecha i mieć go będzie. Biada ci więc graczu, biada ci myśliwy, biada ci rybaku a przedewszystkiem biada ci nieszczęsna zwierzyno!

Gdy ci jednak zbytnio pech dokucza, śmiej się człowiecze! Nie płacz, nie skarż się, nie wyrzekaj. Pamiętaj, że gdy się śmiejesz, cały świat się z Tobą śmieje, a płacząc... płaczesz tylko sam.



ANTONI GÖTZ OKOCIMSKI

# Wspomnienie z Polesia

Moje liczne zajęcia nie pozwalają mi na korzystanie z wypoczynków w okresie letnim, dlatego tem skwapliwiej przyjąłem zaproszenie hrabiego Maurycego Potockiego na polowanie na wilki na Polesiu. Miało nas być pięciu myśliwych, lecz jak to obecnie często bywa, wyjechało nas z Warszawy tylko trzech, gdyż reszta myśliwych nie dopisała. Po całonocnej podróży wysiedliśmy w Łunińcu w południe, gdzie nas czekał na dworcu kolejowym raport o otropionych wilkach. Wprost z dworca pojechaliśmy do lasu, sadowiąc się pojedyńczo w sankach, zaprzężonych w jednego konia, który choć mały, jednak szybko przez puszysty śnieg potrafi biec kłusem bez wytchnienia kilkanaście kilometrów. Przy ofladrowanym ostępie czeka na nas świetny tropiciel, który z gospodarzem omawia sposób pędzenia miotu. Gospodarz stawia mnie na prawej flance w ofladrowanem polu. Przed sobą mam łozę, która gdzieindziej rzadsza pozwala wzrokowi błądzić po zaśnieżonej przestrzeni; poza plecami rozpościera się ogromna łąka-bagno, dzisiaj zamarznięta. Po ustawieniu nagonki i w minutę po pierwszym krzyku, pada na lewej flance strzał, po chwili drugi, a prawie równocześnie na prawo odemnie słyszę w łozie tętent i szum, który posuwa się ku flankom. W odległości około 60 kroków na prawo od siebie widzę cień wilka, który zdąża ku fladrom, a zobaczywszy je nawraca w głąb miotu, biegnąc głośno, a szybko. Ten manewr powtarza się dwukrotnie i nagle, gdy wilk był

---

A głuszec na chwilę znieruchomiał, potem opadł nawznak i bezwładnie stoczył się z gałęzi. Spadał w dół jak kamień, obijając się o konary i ciągnąc za sobą lawinę suchych prętów, igliwia i szyszek. Wyskoczył Anton z ukrycia, podbiegł do leżącego na grzbiecie pod drzewem ptaka. Przez chwilę patrzał na piękny rysunek białych plam, zdobiących czarne upierzenie brzucha, na jasne podbicie szeroko rozłożonych skrzydeł i migotliwą zieleń połyskującej piersi, na której leżała drobna gałązka modrzewia .Myśliwy podniósł ją i schował starannie do kieszeni. Potem wziął ostrożnie ptaka za grube, szorstkie nogi, a zarzuciwszy strzelbę na plecy, ruszył w stronę dworu. A nad polanką słały się dotąd resztki siwego obłoku dymu.

Od tego czasu upłynęło kilkanaście lat. Zmienił się właściciel majątku, padł las pod razami toporów kupieckich, pochylił się i zestarzał gajowy Anton. A modrzewie przetrwały. Rosły nadal wyniosłe i wspaniałe, choć dookoła nich ciągnęły się już tylko wyręby i karczowiska, choć wiedziały, że nigdy już ich nie odwiedzą królewskie głuszce, doszczętnie w okolicy wytępione. Zestarzały się i modrzewie, okrywając się jeszcze liczniejszemi porostami i mnóstwem uschłych gałęzi. Nie zapomniał ich jednak sędziwy Anton. I skoro tylko mróz zaczerwienił korony osin, a z głębi lasów popłynął ostry aromat więdniejącej roślinności — wspierając się na sękatej jałowcowej lasce, wlókł się niezdolny do pracy, zgrzybiały już obecnie starzec, drogą ku samotnym modrzewiom. Ciągnęły go ku nim rozkoszne łowieckie wspomnienia, wabiły wizje szczęśliwej przeszłości.

Zastałem go kiedyś na polance, siedzącego na pieńku z nieodłączną fajką w ustach. Ubrany był jak zwykle w połatany kożuch, białe płócienne spodnie, sięgające aż do kostek i plecione z łyka łapcie. Podniósł ku mnie swą od niepamiętnych czasów nie goloną twarz, pokrytą bujnym, białym zarostem, z poza którego wyglądała para siwych, pełnych poczciwości, oczu.

— Trzynaście lat temu, mówił po białorusku, zabiłem tu najpiękniejszego w życiu ptaka. Wycięli las, ale moich drzew nie odważyli się tknąć, bo wiedzą, jak ja je kocham. Dopóki żyję, nic złego im się nie stanie, z niemi bowiem wiąże się moje najmilsze wspomnienie. A po tamtym głuszcu, wie Pan, mam jeszcze pamiątkę.

Wyjął z kieszeni płaskie, blaszane pudełeczko i podał mi je. Zajrzałem do wnętrza: leżała tam zasuszona, zżółkła gałązka modrzewia.

— — — — — — — — —

W rok potem przejeżdżałem znowu tamtędy. Pod jednym z modrzewi widniała świeżo usypana mogiła z podwójnym, prawosławnym krzyżem.



przy fladrach, hałas jego biegu ustaje i za chwilę widzę przed sobą kłusem biegnącego wilka, z łbem podniesionym, wypatrującego nieprzyjaciela, który czyha na jego życie. Podnoszę sztucer do twarzy bardzo wolnym i spokojnym ruchem, nie chcąc zwracać na siebie uwagi zwierza, który jednakże spostrzega mój ruch i błyskawicznie na miejscu zawraca, otrzymując moją kulę w owym młyńcu. Nigdy nie przypuszczałem, by wilk tak szybko mógł reagować na widok myśliwego i choć umiem się szybko składać i szybko decydować, zrozumiałem, że w strzale byłem jeszcze za wolny. Po dojściu nagonki do linji myśliwych, idę na trop, znajduję trochę farby, posuwam się za nią w głąb miotu i przekonuję się niestety, że wilk w długich susach wymknął się z naszego ostępu.

Gospodarz zabił pięknego wilka w dość trudnych warunkach, gdyż niespodziewanie pojawił mu się w bardzo krótkim czasie, po rozpoczęciu gonu. Po powrocie do domu, którym był hotel w Łunińcu, trzeci nasz towarzysz-myśliwy niespodziewanie, poważnie zachorował i nie mógł towarzyszyć nam w dalszej wyprawie. Dlatego tylko we dwóch z hr. Maurycym Potockim jedziemy niezwykłym sposobem przez drogi i bezdroża ogromną sześciokołową Tatrą przez Dawidgródek do Ozdamicz. Podziwiałem sprawność samochodu, dla którego nie istniały przeszkody terenowe w postaci zasp śnieżnych, ostro spadzistych grobli, rzek zamarzniętych, wybojów. Po przybyciu na miejsce słuchamy raportów, które są pomyślne, gdyż tropiący skonstantowali obecność 12 do 15 wilków w rewirze. Na drugi dzień mamy ostęp z otropionemi czterema wilkami. Dojeżdżamy do ofladrowanego miotu i tutaj hr. Potocki kazał zastosować świetną metodę pędzenia, polegającą na tem, że ostęp dookoła ofladrowany nie był przepędzony normalnie przez nagonkę, lecz naganiacze stali na miejscu spokojnie i cicho, a w miot wszedł tylko jeden człowiek, który tropem wilków posuwał się ku linji myśliwych. Rezultat tego postępowania był taki, że wilki szły swojemi drogami i przesmykami niewystraszone, podczas gdy przy normalnem pędzeniu przez nagonkę łatwo się zdarza, że wilk przyparty przez nagonkę do fladrów w rozpaczliwej odwadze dostaje się pod nie i z miotu wymyka. Postawiony przez gospodarza na swojem stanowisku miałem zaledwie czas nabić swoją broń, gdy już zobaczyłem wilka idącego truchtem. Wilk, zainteresowany chwiejącemi się na wietrze czerwonemi fladrami, patrzał na nie zdaleka, nie zwracając uwagi na myśliwego, który stał za wykrotem. Wyszedł na mnie na liczonych kroków ośm, a w sekundzie w której go zabiłem, zobaczyłem drugiego wilka, który na odległość strzału pomykał w galopie na lewo odemnie. Zdążyłem włożyć jeden nabój do prawej lufy, by zabić go już na fladrach w odległości 50—60 kroków. W kilka minut po moich strzałach widzę znowu przed sobą idącego wilka tropem poprzednich, którego zabijam, strzelając przed siebie w miot. Radość wielka, wszak to są pierwsze moje wilki i to trzy na jednem stanowisku. Czwarty wilk, otropiony w tym miocie, pojawia się na znaczną odległość, jest jednak ostrożny i nie chce iść śladami swoich poprzedników, lecz uderzywszy kilkakrotnie na fladry, wychodzi w ostrem tempie na gospodarza, który kwituje go pięknie umieszczoną kulą. Zgodnie z tradycją, hrabia Potocki pasuje mnie i znaczy farbą pierwszego wilka, ja zaś wyrażam gospodarzowi moje szczere, a gorące podziękowanie za te królewskie łowy. Ponieważ jeszcze jest stosunkowo dość wcześnie, by zdążyć do drugiego ostępu, gdzie oczekuje nas niecierpliwie artysta w kunszcie tropienia, siadamy na sanki i popędzając konie, zdążamy do drugiego ostępu. I znowu powtarza się ten sam manewr nagonki, rozstawionej przez wysokiej miary myśliwego, jakim jest hrabia Maurycy Potocki, w celu wygnania potężnego drapieżnika, który na myśliwym robi tak wielkie wrażenie. W szare popołudnie zimowego dnia słyszę charakterystyczny szelest przedzierającego się ciała zwierza przez gąszcz leśny i za chwilę mam przed sobą ogromny, trójkątny łeb wilka patrzącego z niepokojem, lecz badawczo w moje oczy. Szybko strzelam i nie widzę, że za tym olbrzymem stał drugi wilk, zakryty gałęziami łozy, który, jak potem po tropach przekonałem się, zamłynkował i uderzył na fladry, podczołgując się pod nie i unosząc cało swoją skórę. Po miocie szukam mojego wilka, którego znajduję o 30 kroków dalej martwego i cieszę się zdobyciem potężnego wspaniałego zwierza. Co za siły żywotne w tym zwierzu, który rażony z bliska dużą dawką ołowiu, ma jeszcze siłę iść kilkanaście, czy kilkadziesiąt kroków, by nagle paść bez życia. Co za knieja cudowna, która takiego zwierza chowa, i która takie emocje myśliwskiemu sercu daje!



ADAM STADNICKI.

# Prawo łowieckie

Pragnę podzielić się z Czytelnikami paroma uwagami odnoszącemi się do naszej Ustawy Łowieckiej — i przez poruszenie tych spraw przyczynić się może pośrednio do jej poprawienia.

Jednym z głównych mankamentów tej ustawy jest zupełne przemilczenie i zapomnienie o enklawach leśnych — tak jakby ich nie było, a przez to stworzenie sytuacji niejasnej, z której nieraz referenci łowieccy przy Starostwach nie widzą wyjścia.

Mało jest chyba w Polsce a nawet na świecie tak szczęśliwie skomasowanych majątków, a głównie lasów, w których nie byłoby cudzych kawałków pól czy łąk — w naszych górach i na Podkarpaciu tych obcych gruntów, czyli enklaw jest wszędzie bez liku.

Każdy kompleks leśny, nawet największy ma wśród

najniedostępniejszych puszcz karpackich takie „oka" w postaci polan chłopskich.

Czyje jest prawo polowania na takiej kilko- czy kilkunasto-hektarowej polanie położonej wśród kilkusethektarowego łącznego kompleksu leśnego? — o tem nasze Prawo łowieckie milczy.

Nieraz jest tych polan b. dużo wśród okalającego je ze wszech stron zwartego obszaru leśnego, czasem wrzyna się długim pasem język polan w głąb lasów, trzymając się tylko jednym końcem pól wiejskich. Przez ten nieraz na kilometr długi a na 100 m szeroki pasek wieczorami przechodzą sarny z lasów okalających go, a ukryty na tej polanie „sąsiad" myśliwy z wsi odległej siekańcami kropi do nich „legalnie", — gdyż ustawa nasza, w przeciwieństwie do dawnych austrjackich czy obecnie obowiązującej w sąsiedniej Czechosłowacji — enklaw nie zna.

Jest to największa może wada naszej ustawy — która bezwarunkowo uchyloną być winna. **Na wszelkich enklawach prawo polowania winno należeć do właściciela okalającego je okręgu łowieckiego,** — dotyczy to również „półenklaw" t. j. gruntów obcych otoczonych po większej części terenami stanowiącemi łączny (samoistny) okręg łowiecki.

1. Na tych „enklawach" czy „półenklawach" winno prawo polowania bezwarunkowo należeć do właściciela sąsiadującego z nimi, względnie otaczającego je terenu łowieckiego, i to bez względu, czy tych enklaw jest dużo czy mało, czy w sumie powierzchnia ich razem wzięta dorównywa może obszarowi samoitnego okręgu łowieckiego — gdyż i takie wypadki zdarzać się mogą, czy nawet go może przewyższa — zawsze decydującym momentem powinno być to, że w kompleksie leśnym nawet wielu enklawami popstrzonym zwierzyna ma stałą siedzibę, tam się rodzi, a na polany czy inne enklawy tylko czasami wychodzi — nie dając więc właścicielowi lasu czyli hodowcy i właścicielowi zwierzyny prawa polowania na enklawach — tylko sankcjonuje się kłusownictwo.

2. Okręgi łowieckie 100 hektarowe są zbyt małe, zwłaszcza w górach winny mieć jeżeli nie po 500 to bodaj po 300 hektarów, a prawo polowania na jelenie powinien dawać dopiero okręg 1.000 hektarowy.

3. Tegoroczne generalne pozwolenie strzelania kóz od 15. I.—15. II. było błędem i rzeczą niemyśliwską w najwyższym stopniu!

Odstrzał kóz powinien być traktowany tylko indywidualnie, i tylko dobrze prowadzonym łowiskom dla regulacji stanu — po wysłuchaniu opinji Delegatów T. Ł. winien być odstrzał ten pozwalany. — Inaczej dzieje się to co tego roku, że każdy chłop na gminnem terytorjum uważa odstrzał kóz nie za prawo lecz **za obowiązek,** który wykonywa b. sumiennie — waląc siekańcami do każdej sztuki, jaka mu pod lufę wpadnie, boć wtedy każda sarna jest dlań „kozą", tak jak przed 15. I. każda była „kozłem".

4. Poruszałem już raz na łamach „Łowca" sprawę zakazu polowania przed wschodem i po zachodzie słońca. To niemądre postanowienie, które tylko przez nieporozumienie znalazło się w ustawie, winno zniknąć, gdyż niema chyba na świecie myśliwego polującego latem na rogacze, na zasiadkę lub podchód, co uważam za jeden z najszlachetniejszych i najbardziej interesujących sposobów polowania — któryby tego przepisu nie przekroczył. — Wszak rogacze tylko przed wschodem i po zachodzie słońca wychodzą, — nie mówiąc już o ciągu słonek — toki są o ile mi się zdaje od tego rygoru — na szczęście wyjęte! — Mam nadzieję, że te uwagi znajdą wyraz w mającej być znowelizowanej ustawie!

Nawojowa, 7 marca 1933.



## Conseil International de la Chasse

**Rezolucje Stałej Komisji z dnia 27 maja 1932 r.**

Stała Komisja Międzynarodowego Związku Łowieckiego zebrana w Paryżu w dniu 27 maja 1932 r. podjęła ponownie debaty w sprawach, które były przedmiotem obrad w dniu 21 stycznia 1932 r., a które dotyczyły łownego ptactwa przelotnego.

Ponieważ sprawa zakazu używania sposobów masowego, niesportowego, chwytania ptactwa, a mianowicie takich sposobów, jak sidła, sieci i potrzaski, była już poprzednio rozważaną, tak samo zresztą jak sposoby ochrony ptactwa od niszczenia powodowanego wylewaniem do morza oliwy i olśniewaniem przez latarnie morskie, przeto obrady Komisji ograniczono do sprawy terminów polowania na słonki, przepiórki i na ptactwo wodne i nadbrzeżne.

### I. SŁONKA.

Komisja doszła do przekonania, że wszelkie polowanie na słonki nie powinno się przeciągać poza pierwsze dni miesiąca kwietnia. — Przestrzegając kardynalnej zasady, że wszelkie polowanie powinno ustać z chwilą, gdy odnośny gatunek ptactwa przybył na miejsce swego gnieżdżenia się, należy brać pod wzgląd klimat poszczególnych krajów.

Z tego powodu we większej części Francji ten termin kwietniowy jest nawet za późny, gdyż słonka gnieździ się tu regularnie i dlatego data 31 marca ustalona we Francji instrukcjami ministerjalnemi od czasu wojny jest tu uzasadniona.

### II. PRZEPIÓRKA.

Polowanie na przepiórki powinno ustawać równocześnie z wszelkiem polowaniem w równinach. Jest niedopuszczalnem, aby jakieś nieusprawiedliwione przedłużenie terminu wiosennego mogło służyć jako pokrywka dla wyuzdanego kłusownictwa i narażało na niebezpieczeństwo zwierzynę stałą, a w szczególności zające i kuropatwy. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . [1])

[1]) Dalszą część rzeczy o przepiórkach opuszczamy, gdyż dotyczy ona stosunków Francję obchodzących, a nie zawiera właściwie żadnych uchwał, lecz jedynie życzenie, by w Afryce północnej zamykano wcześniej polowanie wiosenne na przepiórki, a otwierano je w późniejszym niż obecnie terminie w jesieni.

### III. PTACTWO WODNE
**(ptactwo wodne i błotne tudzież ptactwo morskie i nadbrzeżne).**

W uwzględnieniu różnic czasu przebywania ptactwa wodnego, polowania na nie i terminów jego wędrówek, Komisja jest zdania, że z punktu widzenia terminów otwarcia i zamknięcia polowania należy przyjąć następujące podpodziały: a) Ptactwo wodne i błotne, b) Ptactwo morskie i nadbrzeżne.

**a) Ptactwo wodne i błotne.**

Kaczki krzyżówki, jako gnieżdżące się najwcześniej powinne bezsprzecznie doznawać ochrony już od 1 lutego.

Co do reszty ptactwa, na które się poluje na wodach śródlądowych na stawach i zalanych łąkach, to choć Komisja na poprzedniej sesji przychyliła się do zdania, że należy zamykać polowanie na nie w terminie około połowy kwietnia, to jednak uznać należy, że ten termin jest zbyt spóźniony we Francji, (a szczególnie z jej części południowej i środkowej), gdyż jawiące się tam o tej porze roku ptactwo jest już u kresu swego wiosennego przelotu i na miejscu swego gnieżdżenia się.

Wobec tego data 31 marca ustalona we Francji dekretami generalnemi od czasu wojny jest logiczną i usprawiedliwioną. Kraje położone więcej na północ, gdzie wędrówka powrotna ptactwa jest późniejszą i gdzie przyjęto daty zamknięcia 10 lub 15 kwietnia mogę te daty utrzymywać dla kszyków, bekasików, wszystkich brodźców, ceranek, kulików, płaskonosów, gęsi i kaczek innych jak krzyżówki.

**b) Ptactwo morskie i nadbrzeżne.**

Wielkie masy brodźców: słonek morskich (Limosa), kulonów, biegusów, siewek, bekasowatych i batalionów przybywają późno na wybrzeża, gdzie polują na nie tudzież na niektóre gatunki kaczek nurkujących i na ptactwo morskie.

Projekt ustawy o polowaniu na morzu tudzież na wybrzeżach, przedłożony Parlamentowi francuskiemu, przewiduje 15 maja jako datę zamknięcia a 1 lipca jako datę otwarcia polowania na ptactwo wyżej cytowane na plażach, namuliskach, mieliznach, zatokach i wodach przybrzeżnych.

Komisja uznała, że w porze roku wyżej oznaczonej ptactwo to nie przybyło jeszcze na miejsce swego gnieżdżenia się, a przeto polowanie na nie w tak oznaczonej porze nie nastręcza przyczyny do objekcji.[1])

——o-o——

Co do daty otwarcia, to żalą się, że w połowie lipca nawet są kaczki na stawach zaledwie lotne, a niektóre gatunki brodźców jeszcze w puchu. Z drugiej strony na stawach eksploatowanych dla rybołowstwa przedsiębiorcy widzą chętnie przyspieszenie terminu niszczenia ptactwa dla nich szkodliwego, a przeto trudno proponować ogólnie termin otwarcia poza 15 lipca. Tutaj każdy kraj będzie mógł tą sprawę urządzić przy uwzględnieniu własnych interesów.

W końcu Komisja wychodząc z założenia, że misja Międzynarodowego Związku Łowieckiego polega na tem, by rządom państw proponować reguły logiczne i racjonalne dla ochrony i rozumnej eksploatacji wszelkiej zwierzyny, powtarza to swoje stanowisko, że zakazanie polowania ze strzelbą przez myśliwych na ptactwo przelotne w czasie jego wędrówki powrotnej byłoby równoznacznem z zakazem wiosennego polowania na nie w tych krajach, które nie są jego stacjami zimowemi, co nie wydaje się, by było użytecznem i pożądanem.

Tłum. *A. Sander*

[1]) Oczywiście tylko w powyżej wymienionych miejscach, gdzie się to ptactwo nie gnieździ. Przyp. tłumacza.

# KORESPONDENCJE

*Kraków, dnia 20 lutego 1933 r.*

Na łowiskach **Towarzystwa Myśliwskiego im. św. Huberta w Krakowie** ubito w ubiegłym sezonie 2 rogacze, 431 zajęcy, 15 lisów, 6 łasek, 873 kuropatw, 79 bażantów, 11 przepiórek, 3 chruściele, 45 dzikich kaczek, 2 gołębie dzikie, 12 jastrzębi, 3 krogulce, 74 wrony, 130 srok, 3 dzikie króliki, 22 psy, 73 koty, 1 kunę i wybrano 5 jaj jastrzębich. — Wypłacone strażnikom wynagrodzenia za szkodniki wynosiły w pow. krakowskim zł 18,50, chrzanowskim zł 114,50 i myślenickim zł 10,90 — razem zł 143,90.

Zwierzyna ta (prócz kuropatw i rogaczy, na które polowali członkowie Towarzystwa w pojedynkę), ubita została na 14-tu polowaniach gremjalnych, z których to polowań odbyły się trzy na bażanty i lisy, a jedenaście na inną również zwierzynę. Z ogólnej liczby polowań gremjalnych odbyło się 7 na terenach dzierżawionych w powiecie krakowskim, 6 na rewirach w powiecie chrzanowskim a 1 w powiecie myślenickim. Uczestników bywało na tych polowaniach przeciętnie 14, zarówno członków Towarzystwa jak i zaproszonych gości.

Stan zajęcy na łowiskach naszych średni — kuropatw doskonały; również bażanty, które puściliśmy przed sezonem w kompleksie rewirów Czerna — Czatkowice w ilości 36 kur i 12 kogutów, rozmnażają się w sposób zadowalający.

Zajęcy puściliśmy w r. 1932 — 12 sztuk (samic 8 a samców 4) w kompleksie lasów Czerna, a rewirów, w których stan zajęcy okazał się słaby, wcale w ubiegłym sezonie nie opolowano.

| Sekretarz | Łowczy | Prezes |
|---|---|---|
| *Stefan Różecki* | *Rudolf Obraczay* | *Dr. Bolesław Korolewicz* |

**Z powiatu Zbaraskiego.**

*Roznoszyńce, 28 lutego 1933 r.*

Na wezwanie Wydziału M. T. Ł., zdaję relację w jaki sposób na terenie tutejszego powiatu w myśl rozp. Min. Roln. z dnia 16 grudnia 1932, dokonano odstrzału sarn w czasie od 16 I. do 15 II. b. r. Otóż okres ten, śmiało mogę nazwać „karnawałem dla kłusowników", niesłychanie groźnym dla naszego zwierzostanu. — Min. Roln. wydając owo w skutkach swych tak bardzo opłakane rozporządzenie, zupełnie zlekceważyło fakt, że na obszarze naszego kraju, zwłaszcza kresów wschodnich, bardzo wiele terenów łowieckich znajduje się (najczęściej drogą dzierżawy) w rękach ludzi niepowołanych, polujących, a raczej niszczących zwierzynę jedynie w celach zysku. Jakakolwiek walka z tego rodzaju legalnymi kłusownikami jest bardzo trudną, albo też wręcz niemożliwą. Tego to rodzaju myśliwi z chwilą wejścia w życie rzeczonej noweli, niczem nie krępowani, z całym zapałem wzięli się do wybijania nielicznych sarn. Posiadam rewir, który graniczy z kawałkiem lasu, należącym do gminnego terenu, dzierżawionego przez spółkę, złożoną z dwóch czy trzech osobników. Korzystając z tego, że sarny przechodząc z mego i sąsiedniego rewiru do owego skrawka lasu, polowano tam na nie codziennie, różnemi sposobami, zabijając i kalecząc kilkanaście sztuk. Z innej części powiatu donoszono mi również o podobnym „odstrzale".

Nadmieniam, że w pow. zbaraskim w czasie wojny, sarny zostały prawie doszczętnie wyniszczone i obecnie tylko dzięki pilnej ochronie mała ich ilość w niektórych okolicach się utrzymuje. Naturalnie, że wobec podobnego stanu rzeczy, żaden z myśliwych-hodowców odstrzału w swoim rewirze nie dokonywał.

Reasumując to co powiedziałem, stwierdzam, że rozporządzenie o odstrzale sarn sprowadziło znaczne wyniszczenie tychże, o wiele zimę z r. 1929=ego przewyższające, gdyby zaś i na rok przyszły miało się utrzymać, ulegną sarny zupełnej zagładzie. Obecnie już chcąc resztki ich od tej smutnej ewentualności ratować, należałoby zamknąć w ogólności polowanie na kozły conajmniej na okres dwuletni.

Wkońcu w imieniu prawych myśliwych mego powiatu, apeluję do władz kompetentnych, by powyższe rozporządzenie, jako zagrażające istnieniu sarn, urągające wszelkiej gospodarce łowieckiej i czyniące ustawę łowiecką martwą literą, jak najprędzej cofnęły i pod tym względem jak najdalej idące środki ostrożności zaprowadziły.

Delegat M. T. Ł. na pow. Zbaraż.
*Władysław Małecki*

27 i 28 lutego br. odbyło się polowanie w lasach ordynacji Poturzyckiej. Ponowa przy lekkim mrozie sprzyjała tym ślicznym łowom i na rozkładzie znalazło się 27 dzików, w tem 4 odyńce.

Osobliwy urok polowania w Poturzycy polega nietylko na ślicznej kniei tak obfitującej w dziki, lecz nad wszystkiem góruje niezrównana gościnność najmilszego Gospodarza i znakomita Jego sprawność w kierowaniu polowaniem. Szczęśliwi uczestnicy polowania składają hr. Ordynatowi najserdeczniejsze dzięki.

*A. S.*

## Sprawozdanie z polowań na kresach dzierżawionych przez Kółko Łowieckie w Brodach w sezonie 1932/33

*Brody, 1 marca 1933 r.*

Kółko Łowieckie polowało dnia 22. X. 1932 w rewirze Szczurowice pow. Radziechów w 13 strzelb. Padło 2 rogacze, 2 lisy i 30 zajęcy. Stan sarn bardzo ładny, stan zajęcy średni, słonek widziano kilka, żadna jednak nie wyleciała na strzał.

Dnia 29. X. 1932 kotłami na polach gminy Jasionów w 10 strzelb. Ubito 53 zajęcy, dużo zajęcy wyszło bez strzału. Stan zajęcy bardzo ładny.

Dnia 5. XI. 1932 kotłami na polach gminy Czechy w 7 strzelb ubito 60 zajęcy. Stan zajęcy bardzo dobry.

Dnia 19. XI. 1932 kotłami w gminie Ponikowica w 9 strzelb. Ubito lisa i 27 zajęcy. Stan zajęcy słaby a to z powodu silnie rozwiniętego kłusownictwa i wnykarstwa, z którem prawie że bezskutecznie walczy Kółko od szeregu lat.

Dnia 26. XI. 1932 kotłami na polach gminy Wysocko w 6 strzelb przy silnym wietrze i odwilży. Padło 43 zajęcy, dużo bardzo zajęcy uszło bez strzału. Stan zajęcy bardzo dobry.

Dnia 3. XII. 1932 kotłami na polach gminy Kadłubiska w 8 strzelb. Ogółem padło 20 zajęcy. Stan zajęcy bardzo lichy a to z powodu kłusownictwa i wnykarstwa.

Dnia 10. XII. 1932 w gminie Zabłotce kotłami i miotami w 5 strzelb. Padło tylko 14 zajęcy. Pogoda była ochydna, deszcz i śnieg, tak że o właściwem przepolowaniu terenu mowy być nie mogło. Stan zajęcy średni.

Dnia 24. XII. 1932 w lesie gminnym gminy Kazniów w 6 strzel. Padło 11 zajęcy. Stan zajęcy bardzo słaby.

Dnia 5. I. 1933 w 8 strzelb w lesie gminnym Wysocko, padł lis i 27 zajęcy. Stan zajęcy dość dobry w porównaniu z latami poprzedniemi dzięki energicznej opiece gajowych Wojnarowskiego i Kożana, którzy zaopiekowali się gorąco wnykarzami i kłusownikami.

Stan zajęcy w powiecie brodzkim jest na ogół dobry i przy pilnem tępieniu kłusownictwa da się bardzo wysoko podnieść. Kuropatw było w ubiegłym sezonie znacznie więcej, niż w poprzednim jednakowoż polowano na nie bardzo uględnie, a to celem podniesienia ich stanu. Cietrzewi mamy w powiecie dużo i toki są prześliczne. Ptactwa błotnego było z powodu panującej posuchy bardzo mało a i kaczki w tym roku nie bardzo dopisały.

Straż nasza odebrała w tym sezonie 7 strzelb kłusownikom, oraz złapał kilku wnykarzy. Sprawę oddano Sądowi grodzkiemu w Brodach.

*Józef Tyszkiewicz*
delegat i członek kółka

*Gródek Jagielloński, 2 marca 1933 r.*

## Twardy sen lisa

Ośmielam się podać poniżej odpis listu, jaki otrzymałem niedawno od mego znajomego, mieszkającego w okolicy Turki nad Stryjem a opisujący zdarzenie swoje ze śpiącym lisem.

List ten brzmi:

„W minionym tygodniu — a było to we środę, — miałem nielada przygodę z lisem, która w słuchaczu napewno musi wzbudzić podejrzenie myśliwskiej blagi.

Jechałem z Turki popołudniu sankami z licznemi dzwonkami, jakich tu używa szlachta.[1]

Przed Ilnikiem, koło mostu kolejki leśnej, zauważyłem świeży ślad lisi, którego rano nie było. Nieco dalej w stromym stoku za rzadziutką olchą — w odległości 8—10 kroków, zwinięty w kłębek, spał najspokojniej lisek. Pojechałem dalej z zamiarem powrócenia ze strzelbą.

Wstąpiłem do jednego gazdy, który ma strzelbinę, bo uważałem, że jechać po swoją do domu byłoby wielkiem ryzykiem.

Strzelba była u gazdy w domu, lecz jego samego nie było i nikt nie wiedział, gdzie są naboje. Sięgnąłem do swojej kieszeni — a nuż znajdę?... Jest! jeden tylko wprawdzie — ale wystarczy.

Jadę z powrotem i widzę z daleka — jedzie kilka sań, tak donośnych jak moje, pieszo idzie człowiek drogą a gdy byłem jeszcze bliżej, patrzę, sunie baba. Jeżeli miałem nadzieję, że od sanek nie wstał lis, to byłem pewny niemal, że od ludzi pieszych (szczególniej baby) napewno zbudzi się. Ale gdzieżtam! Dojeżdżam i widzę — śpi dalej. Zeskoczyłem z sań, ale strzelić nie mogę, bo mi zasłaniają gałązki olchy, za którą śpi lis, — trzeba dostać się za rów. Ślisko, skacząc upadłem dwa razy a lis dalej spał. Posądziłem go, że już nieboszczyk, ale dla pewności zmierzyłem i strzeliłem do śpiącego, bo budzić go, znaczyło to samo, co go więcej nie oglądać — gdyż wyżej był gąszcz. Trafiony w czoło zsunął się do mych nóg".

*H. Malsburg*

*Stanisławów, w marcu 1933 r.*

Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie, urządzało w sezonie tegorocznym po dzień 15 lutego 1933 r., 19 polowań gremjalnych, z których na czterech polowaniach do zajęcy nie strzelano. — Wyniki były następujące:

21 X. 1932, Czerniejów=dwór, 14 strzelb, 2 rogacze.
27 X. Stryhańce, 14 strzelb, 3 dziki, 1 lis.
31 X, Uzin, 12 strzelb, 3 dziki, 1 lis.
12 XI, Iwanikówka, 13 strzelb, 61 zajęcy.
17 XI, Trościańce = pola, 10 strzelb, 2 lisy, 10 zajęcy.
19 XI, Radcza, 11 strzelb, 56 zajęcy.
26 XI, Czerniejów=pola, 13 strzelb, 81 zajęcy, 1 kaczka.
29 XI, Chomiaków, 13 strzelb, 1 lis, 43 zajęcy.
3 XII, Czerniejów=Oberża, 21 strzelb, 71 zajęcy.
10 XII,. Czerniejów=Gaje, 11 strzelb, 36 zajęcy.
16 XII, Uzin, 16 strzlb, 2 dziki, 6 lisów, 78 zajęcy.
20 XII, Czerniejów=dwór, 17 strzelb, 69 zajęcy.
24 XII. Opryszowce=Czukal., 15 strzelb, 46 zajęcy.
31 XII, Mykietyńce, 17 strzelb, 1 lis, 86 zajęcy.
5 I. 1933, Zabereże=pola, 16 strzelb,2 lisy, 33 zajęcy.
10. I. Zabereże=las, 14 strzelb, 78 zajęcy.
12 I, Uzin=pola, 5 strzelb, 1 lis, 16 zajęcy.
13 I, Stryhańce, 12 strzelb, 1 dzik, 14 zajęcy.
5 II, Trościańce, 8 strzelb, 2 dziki, 14 zajęcy.

Razem: 2 rogacze, 11 dzików, 15 lisów, 778 zajęcy, 1 kaczka.

Pozatem na polowaniach w pojedynkę i na podjazdach, padło: 60 koropatw, 2 bażanty, 20 przepiórek, 10 chruścieli, 21 słonek.

Straż ubiła: 41 psów, 19 kotów, 208 wron, 310 srok, 25 jastrębi.

Zwierzostan naogół dobry, znać poprawę w rozmnoży zwierzyny płowej — natomiast dziki przerzedziły się znacznie z powodu bezlitosnego wybijania ich dotychczas przez cały rok i przez wszystkich, którzy mieli możność posiadania strzelby. — Znaczne szkody w dzikach wyrządzali kłusownicy, strzelając samury przy młodych z wiosną na wychodnem z lasu na żer, lub chwytając

[1]) Niektóre wsie obok Turki zamieszkują gospodarze=rolnicy, szczycący się dobrze zachowanymi dotychczas dyplomami szlacheckimi (indigenatami) nadanymi im przez królów polskich.

w barłogu małe, kilkudniowe prosięta, w lasach gminnych — niedzierżawionych.

Ustawa o uchronie dzików od 1 marca, okazała się bardzo właściwą i na czasie. Zauważyliśmy w ubiegłym sezonie niespotykane dotąd zjawisko u dzików w naszych stronach, mianowicie bardzo małą ilość odyńców i wycinków, a także zupełny brak młodzieży. Na 11 sztuk strzelonych na naszych terenach, było zaledwie 2 odyńce, a ubite samury były bardzo dobrej kondycji o wadze przeciętnej 150 kg. Wszystkie, jak sprawdziliśmy jałowe z roku poprzedniego, o zupełnie uschniętych sutkach. O ile doszły nas słuchy, mrozy i zawieje z końcem marca 1932 r., wyniszczyły wczesne rzuty, a kłusownicy dokończyli dzieła zniszczenia. To też w lutym b. r. w miesiącu przeznaczonym na polowania na dziki, polowaliśmy tylko raz, aby dalej nie wybijać loch, które mogły być prośne, gdyż w styczniu pojawiły się już 2 odyńce w naszych terenach.

Lisów, jak zresztą wszędzie, było sporo — wczesne rostopy w lutym przeszkodziły w polowaniach na nie tak, że w tym roku zaniechaliśmy tych dodatkowych a bardzo emocjonujących łowów.

Sarny rozmnożyły się wcale dobrze. W jednym z naszych rewirów w Czerniejowie, doszło nawet do tego, że jakkolwiek nie z obowiązku, a tylko dla kurtuazji wobec jednego z poważnych gospodarzy, zapłaciliśmy mu za szkodę zrządzoną przez sarny w życie, powstałą przez stratowanie pola w błotnistą porę przez około 40 sztuk, które całemi nocami tam się pasły.

Zajęcy było naogół wiele — wymarznięcie pierwszych marcowych rzutów nie przyniosło takich strat, na jakie liczyliśmy. Niepolowanie na deptaka, pozostawianie nieopolowanych miotów, lub pozostawianie na 1 rok w spokoju 1 z terenów środkowych przy dobrem ich skomasowaniu, co udało się Towarzystwu w trudnych obecnych warunkach przecież przeprowadzić — dają pewne i niezaprzeczone efekty.

Kuropatwy doszły w tym roku do takiego stanu, że mogliśmy po raz pierwszy od czasu wojny preliminować do odstrzału 200 sztuk, ale ponieważ coś w tym roku śruty krzywo chodziły naszym amatorom tego polowania — padło tylko 60 sztuk.

Obecna lekka i prawie bezśnieżna zima, słaby nalot gołębiarzy (sokołów wędrownych też w tym roku zupełnie nie widzieliśmy), wreszcie rychła wiosna, sprzyjają dalszej dobrej rozmnoży kuropatw i spodziewamy się dojść w następnym sezonie do stanu świetnego. — Z ostatnich raportów notujemy obecnie na naszych terenach polnych, 300 sztuk kuropatw i konstatujemy, że podczas dwutygodniowych mrozów i zawiei śnieżnych, przy intensywnem podkarmianiu a małej ilości szkodników, ubytek był minimalny, bo najwyżej 10%. Dotyczy to tak samo zajęcy.

Spodziewamy się, że najlepsze nadzieje nas nie zawiodą.

*K. Piórkowski*, delegat

*Nawojowa, 8 marca 1933 r.*

Stan zwierzyny jest u mnie (południowa część powiatu Nowosądeckiego, granicząca od poł. z Czechosłowacją, z pow. N. Tarskim i lasami Państwowymi Krynica, Śmietnica) dobry, dzików notowano w jesieni około 100, — jeleni ryczało 6, z czego podszedłem 3, lecz nie strzelałem, — sarn jest około 250 — w tem kozłów około 100, — rysie były w jesieni, jednak w czasie polowań się nie pokazały, — głuszców tokuje corocznie ta sama ilość, około 5, zdaje mi się że cierpią od rysi i kun.

Tego roku od 1. IV. 1932 do 1. III. 1933 padło: dzików 23, — rogaczy 9, — lisów 8, — zajęcy 123, — kuropatw 6, — jastrząbków 1, — kwiczołów 12, — ptactwa różnego (wron, srok 60), — razem: 242 sztuk. Odbyły się dwa polowania gremialne na dziki, każde po 3 dni, i kilka polowań na drobną zwierzynę, w których uczestniczyli jako młodzi adepci św. Huberta synowie podpisanego, rokujący najlepsze nadzieje myśliwskie.

*Adam Stadnicki*
del. M. T. Ł.

*Zakopane, 7 marca 1933 r.*

### Nabój kal. 22 Wojskowego Zakładu Pirotechnicznego w Rembertowie

Od kilku lat posiadam automatyczny sztucer kal. 22 systemu „Browning". Jak dotychczas napróżno starałem się o dobranie do niego naboi wyrobu krajowego zarówno „Pocisk" jak „W. F. A.", które podobno dają zupełnie dobre wyniki w broni repetjerowej, powodują liczne zacięcia zupełnie uniemożliwiające ich użycie.

Nie wdając się w krytykę właściwości belistycznych tych naboi, jako laik, pozwalam sobie zarzucić im w pierwszej mierze, zbyt miękki materjał użyty do wyrobu łusek, pozostawiając fachowcom oświedczenie się, czy ustawiczne załamywanie się łusek przy przesuwaniu się naboju z magazynku do lufy, spowodowane jest twardością materjału czy nieodpowiednią grubością blachy do wyrobu łusek użytej.

Przed kilku dniami zupełnie przypadkowo, nabyłem pewną ilość naboi długich precyzyjnych kal. 22, wyrobu „Wojskowego Zakładu Pirotechnicznego w Rembertowie". Wystrzeliłem 100 szt. tych naboi i nie miałem ani jednego zacięcia, mimo że naumyślnie starałem się o jak najszybszy ogień. Nie robiłem prób nad siłą przebicia, ani innemi danemi belistycznemi, dziwię się tylko, że o naboju tym nic jakoś nie słychać, mimo to ośmielam się ochrzcić go na podstawie wyników osiągniętych w praktyce, najlepszym polskim nabojem bocznego ognia.

*M. Marchlewski*

## Komunikat

### Ankieta w sprawie Karpat Wschodnich

Ministerstwo Komunikacji rozesłało świeżo protokół ankiety w sprawie Karpat Wschodnich, odbytej w 1931 r. z inicjatywy Urzędu Wojewódzkiego w Stanisławowie, opracowanej przez dr. Mieczysława Orłowicza i Stanisława Lenartowicza. Ankieta zainicjowana przez Polskie Tow. Tatrzańskie dotyczyła Karpat Wschodnich zarówno jako terenu turystycznego, jak letniskowego, zagadnień rozwoju Huculszczyzny, ochrony przyrody, terenów myśliwskich i rybackich i t. p.

Sprawę ochrony lasów w Karpatach Wschodnich referował prof. dr. Aleksander Kozikowski ze Lwowa, myśliwstwo w Karpatach Wschodnich, prof. Rudolf Wacek ze Lwowa, który wygłosił bardzo wyczerpujący referat, ochronę rybołowstwa, prof. Adam Orzechowski. W ankiecie między innymi wzięli udział reprezentanci Małopolskiego Tow. Łowieckiego, Tow. Łowieckiego św. Huberta, Krajowego Towarzystwa Rybackiego we Lwowie i Towarzystwa Sportu Wędkowego.

Celem pokierowania racjonalnym rozwojem Karpat Wschodnich wysunięto na ankiecie postulat utworzenia Międzyministerjalnej Komisji Regjonalnej dla popierania rozwoju Karpat Wschodnich, jako terenu turystycznego i uzdrowiskowego.

# Sprawy Towarzystwa

### Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 27 marca 1933 r.

Obecni: Prezes Juljusz hr. Bielski, Wiceprezesi: W. hr. Gołuchowski, A. Mniszek, A. Sander. Członkowie: M. Chrzanowski, T. Jędrzejowicz, W. Garapich, Z. Gronziewicz, St. Madeyski, dr. A. Małaczyński, dr. St. Piechowski, St. Pieńczykowski, dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm, dr. W. Ziembicki, oraz zastępcy członków dr. St. Gajewski, St. Jaśkiewicz, dr. K. Obmiński, C. Perini, inż. T. Sroczyński.

Przed porządkiem dziennym zabrał głos St. Madeyski, który przenosząc się na stałe na Wołyń, pożegnał się z Wydziałem wyrażając serdeczną podziękę za miłą mu współpracę w gronie Wydziału dla dobra łowiectwa. Prezes hr. Bielski podziękował p. Madeyskiemu za jego współpracę a obecni pożegnali się nader serdecznie z opuszczającym Wydział. Po odczytaniu protokołu posiedzenia Wydziału z 27 lutego 1933, zawiadomił wiceprezes Mniszek, że w sprawie wydzierżawiania prawa polowań rykowiskowych na życzenie P. Zw. St. Łow. w myśl uchwały Wydziału sporządzono memorjał przy współpracy prof. A. Sołowija i Z. Gronziewicza i memorjał ten odesłano do Związku. Wiceprezes Sander odczytał memorjał dla Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w sprawie skutków rozporządzenia Min. Rolnictwa zezwalającego na odstrzał łań i kóz w czasie od 16-go stycznia do 15-go lutego 1933, w którym zaznaczono na podstawie sprawozdań delegatów i zebranych skądinąd wiadomości, szkodliwość odstrzału łań i siut w tej formie oraz wypowiedziano postulat cofnięcia tego roz-

porządzenia na rok 1934, ze względu na stan zwierzyny płowej na terenie Małopolski.

Dr. Janusza Trzcienieckiego, dotychczasowego delegata na powiat Złoczów przeniesionego do Stryja, zamianowano delegatem na powiat stryjski. Przyjęto nowych członków: Stanisława Kuźniarskiego w Przeworsku, Zdzisława Ładomirskiego w Makowcach pow. Tłumacz, Maksymiljana Zoubeka w Roszniowie pow. Tłumacz i Witolda Schnella w Starych Brudach.

Wydział przyjął z przykrością do wiadomości fakt ubicia jelenia śrutem i poranienia śrutem dwóch jeszcze jeleni na trzech polowaniach nagonkowych odbytych w dwóch powiatach środkowej Małopolski. Wydział potępił jednogłośnie fakty te jako niezgodne z etyką myśliwską i hańbiące dobrą sławę polskiego myśliwego. Pociesza nas jedynie stwierdzenie, że przestępcy nie są członkami M. T. Ł., gdyż w takim przypadku musiałby Wydział zawezwać ich przed Sąd myśliwski.

—o—

W numerze 23/32 „Łowca" w wykazie osób i towarzystw obdarzonych najwyższemi odznaczeniami łowieckiemi opuszczono nazwisko Kazimierza Remiszewskiego, senjora, odznaczonego złotym medalem.

Panów Delegatów wzywamy usilnie by nam zapodali najrychlej możliwie dokładne cyfry łań i siut upolowanych, w rejonach ich pieczy poruczonych, w czasie między 16 stycznia a 15 lutego 1933. na podstawie rozp. Ministerstwa Rolnictwa z 9 listopada 1932 r.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI: W kwietniu wolno polować: na głuszce koguty, cietrzewie koguty, słonki, bataliony, dzikie kaczory, dzikie łabędzie, dzikie indyki (samcy). Wprowadzony czas ochronny w kwietniu dla dzików, żbików, kun leśnych, (tumaków), norek i wiewiórek.

—o—

**Wystawa psów rasowych przy Targach Wchodnich we Lwowie, odbędzie się w dniach 3, 4 i 5 czerwca b. r., staraniem Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie.**

—o—

W dalszym ciągu ogłaszamy nazwiska restantów podając sumę ich zaległości po koniec roku 1932.

Ks. Sapieha Paweł zł. 54, Scazighino Feliks zł. 87, Schofer Franciszek zł. 88,50, delegat hr. Siemieński Stanisław zł. 72, Siemieński Jan zł. 148,50, delegat Skibniewski Władysław 148,50, Skrzyński ski Andrzej 54, Skuciński Eugenjusz inż. zł 72, Ślęzak Walenty zł. 124, delegat Smarzewski Edward zł. 171, Śnieszek Izydor Dr. zł. 61, Sołowij Włodzimierz zł. 90, Spacil Albin zł. 81, Spółka Myśliwych w Sokalu zł. 71, Soroczak Karol zł. 108, hr. Stadnicki Stanisław zł. 54, Stanisz Stanisław zł. 54, Stefanowicz Bogdan zł. 143,50, Stefanus Witołd zł. 141, Stepan Tadeusz zł. 171, Sumiński hr. Albert zł. 81, Szerauc Leopold zł. 171, Szpytko Jerzy zł. 99, Szujski Wacław zł. 72.



**TREŚĆ NUMERU 7:**



**Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.**

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie). Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32